

## Ocalić od zapomnienia

### Franciszek J. Proch

(ur.1915 w Zielonej Górze, zm.2006 w Littleton, Kolorado)

## Wspomnienia - 4



#### Samokształcenie

Napływ paczek żywnościowych oraz pewne zelżenie reżimu obozowego wpłynęło decydująco nie tylko na poprawę fizyczną więźniów, ale również na ich samopoczucie. Ożywiło to z miejsca aktywność grup czy zespołów wśród kacetowców. Jedną z takich działalności była rozbudowa samokształcenia młodzieży (do obozu Dachau zwieziono tysiące polskiej młodzieży gimnazjalnej – w dniu uwolnienia było ich jeszcze 1,400 oraz 3,000 dzieci poniżej 14 lat). A oto co pisze jeden z nich, Tadeusz Gędziorowski: „W obozie było sporo takich jak ja niedokończonych licealistów. Wszyscy liczyliśmy, że po powrocie do kraju będą do nas zastosowane specjalne ulgi w nauce... Trzeba trafiać, że Bolek Proch, kolega z pralni zapoznał mnie z przebywającym na bloku 16 prof. Politechniki Warszawskiej, Kazimierzem Drewnowskim. W rozmowie z nim dałem wyraz naszym nadziejom na przyszłe ulgowe potraktowanie... Profesor oblał mnie zimną wodą.

- No tak, pewnie ulgi może będą, ale nie liczcie na to, że dadzą wam świadectwo matralne ot tak, za nic. Będą one was kosztować sporo wysiłku.

- Słowa profesora spowodowały, że zabrałem się intensywnie do nauki. Mogłem wraz z Heńkiem Matłackim uczyć się i wzajemnie przepytwać. Heńki poduczał mnie z zakresu chemii, a ja jego z historii starożytnej. Później wziąłem się za trygonometrię”.

Oczywiście Tadek nie podaje, że był ktoś kto jego i Heńka wysiłki sprawdzał i zachęcał do dalszej nauki, podsuwając „specjalistów” z odpowiednich dziedzin. Mógł także nie wiedzieć, że poza nimi były i inne podobne „dwójki”. Kontynuacją tej dachauowskiej „szkoły” był międzynarodowy uniwersytet utworzony po uwolnieniu z inicjatywy Dachauowców funkcjonujący pod nazwą UNRRA UNIVERSITY MUNICH.

Swego rodzaju wyczynem było wprowadzenie w 1943 roku przez parę miesięcy na trzeciej izbie 16-tyki UNIWERSYTETU LUDOWEGO. Każdego wieczora na pół godziny przed oficjalnym gaszeniem świateł odbywał się w sypialni popularny wykład z różnych dziedzin wiedzy. Dla bardziej zainteresowanych specjalne tematy omawiali wykładowcy w niedzielne popołudnie, zwykle wolne od pracy. Spośród tych wykładowców mogę dziś jeszcze wymienić: prof. Kazimierz Drewnowski (rektor Politechniki Warszawskiej), senator Zdzisław Wierzbicki, konsul generalny Mieczysław Grabiński, prezes Izby Kontroli Państwowej Zygmunt Malinowski, prof. Kazimierz Szado, kierownik szkoły Feliks Kowalski.

Musieliśmy te wykłady przerwać, kiedy nas ostrzeżono, że „Vernehmungsführer” (szef Gestapo w obozie

Willi Bach ma szpiega w naszej izbie.

#### Nasłuch radiowy

Na każdym prawie bloku prowadzono w Dachau „żywe dzienniki”. Zainicjowaliśmy je jeszcze na kwarantannie w maju 1940 roku. Tuż przed uwolnieniem zwierzył mi się jeden z ówczesnych słuchaczy, że był raczej oburzony moimi wtedy ostrożnymi spostrzeżeniami, iż należy się liczyć z długą wojną.

Podstawą żywych dzienników była nie tylko odpowiednio analizowana niemiecka prasa oficjalna, którą jedynie mogliśmy w obozie abonować, ale przede wszystkim nasłuch radia Londyn, czy innych stacji alianckich, a nawet własne radia krótkofalowe. Własne radio miał kapo pralni, schowane w wiadrze o podwójnym dnie. Jeden z księży na plantage'ach obsługiwał krótkofalówkę. Austriak Riccabone również kierował krótkofalówką. Niektórzy z więźniów mieli dostęp do radia na komandach (zwykle korzystali tam z odbiorników esesmańskich), inni potrafili zmaistrować własne odbiorniki.

Wyraźną poprawę w stałym dopływie informacji z radia londyńskiego uzyskaliśmy w 1943 roku, kiedy do Dachau zwieziono ze wszystkich obozów inżynierów elektryków, w tym m.in. rektora Politechniki Warszawskiej prof. Kazimierza Drewnowskiego, i zatrudniono ich w specjalnym komandzie na terenie samego obozu, ale oddzielonego od nas dodatkowymi drutami kolczastymi. Mieli oni dostęp do radia, bo nad nim pracowali. Potem domyślili się, że pracują nad radarem. Paru z nich przydzielonych było do naszego bloku (rektor Drewnowski był na 30-jej izbie 16-tyki).

Od nich szły na obóz nie tylko wiadomości, ale i części potrzebne do zbudowania własnych odbiorników. Umówiłem się z jednym z tych inżynierów, że o rozpoczęciu inwazji powiadomi mnie natychmiast umówionym hasłem. W poniedziałek, 6-go czerwca 1944 r., gdy zaledwie rozpoczęliśmy pracę, przyszedł do prasowacza kolega Polak, pracujący przy odbieraniu bielizny, i zwracając się do mnie powiedział: „Jakiś facet wpadł do nas i natarczywie domagał się, żebym ci przekazał wiadomość o jakimś zielonym listku”. Podziękowałem mu (choć trochę przekreślił hasło) i po jego odejściu powiedziałem towarzyszom w grupie prasowaczy, że inwazja się już rozpoczęła. Jeden z nich, Niemiec, poleciał zaraz do kapa pralni i po jakimś czasie wrócił z nim. Obaj zbili moją wiadomość stwierdzeniem, że radio niemieckie nic na ten temat nie mówi. Za jakąś godzinę przyszli z esesmańską bielizną do prania i prasowania – te bezpośrednio odebrała nasza grupa – koledzy pracujący w koszarach esesmańskich i potwierdzili wiadomość

o inwazji, dodając, że wśród esesmanów panuje wielkie podniecenie z tego powodu.

#### Tajna msza

Zgromadzeni w Dachau ze wszystkich obozów koncentracyjnych księża prowadzili, mimo oficjalnego zakazu, bardzo

pozytywną pracę religijną wśród swoich współwięźniów. I na naszej izbie zorganizowaliśmy niezbyt nawet tajną mszę świętą. Zrobiło to niesłychane wrażenie na kolegach, szczególnie kiedy zauważyli, że pilnował nas przed nalożeniem esesmanów ateista sztabowy.

#### Stójka przed Jourhausem

We wrześniu 1943 roku zaczęto zwozić do Dachau więźniów Włochów. Równocześnie nadchodziły do magazynów dachauowskich całe pociągi materiałów, które Niemcy rabowali we Włoszech. Szczególnie cenne były wojskowe buty oraz koniak. „Organizowali” jedno i drugie esesmani, pracujący przy wyładowywaniu pociągów lub w samych magazynach. Coraz więcej więźniów wychodziło z obozu w zniszczonych butach, a wracało w „zabrudzonych” nowych włoskich butach wojskowych, coraz więcej było pijanych esesmanów, ale także „organizujących” koniak kacetowców. Nie wszystkim koniak wypijano natychmiast. Robiono sobie zapasy, chowając buteleczki zazwyczaj w siennikach. Z czasem zapomniano, że są tam tego rodzaju „specjały”.

Jesienią 1944 roku podczas „Besuchu” (oficjalna wizyta obozu przez hitlerowców lub ich sprzymierzeńców) trzeba było szybko „rozładować” grupy bezrobotnych (niezatrudnionych w obozie nie powinno być). Na naszej izbie zatrudniliśmy ich przy wymianie słomy w siennikach – właściwie przetrzucało się słomę z jednego siennika do drugiego. I tu natrafiono na ukryte buteleczki włoskiego koniak. Bractwo popiło sobie doskonale. Był wśród nich młody więzień, podejrzany przez nas, że donosi do władz obozowych. W pijackim widzie zaczął się chwalić swoimi wpływami u „Czarnego” (Albert Wernicke, z czarnym „winklem”, szef obozowej policji, zaufany „Vernehmungsführera” Bacha) i u „Gruzina” (tak nazwaliśmy „Legeraltestera Meansaria, z pochodzenia Ormianina, też zaufanego Bacha). Po pewnym czasie rozchorował się - nie wiem czy z nadmiaru wypitego alkoholu czy też wypicia po pijanemu jakiegoś „lekarstwa” przeciw insektom, które prawie każdy wtedy trzymał w swym sienniku. Trzeba go było odstawić do rewiru.

Po drodze naszedł nas Gruzin. Staralem się przekonać go, że po tym wygadaniu powinien przenieść swego pupila na inny blok. Gruzin jednak skoczył na mnie, oskarżając o celowe otrucie i że za to będę wisiał. „Od jutra staniesz pod Jourhausem” – zdecydował z miejsca. Trzy dni stałem tam na widoku wszystkich esesmanów. Że mnie w tym czasie żaden z nich nie zapytał o powód stójki – to już był cud. Po trzecim dniu postawiłem wszystko na wa bank. „Czarnemu” zaofierowałem sto papierosów, w zamian za zwolnienie ze

stójki. Poskutkowało.

#### Zostaje izbowym

W 1944 roku na skutek zwalniania Niemców (zaciągano ich zaraz do wojska, a nawet do „Waffen-SS”) funkcje obozowe na polskich blokach (16-ty, 18-ty i 28-my) zaczęli zajmować Polacy. Zostałem wtedy sztabowym 3-iej izby na bloku 16-ty. Zadaniem Polaka funkcyjnego było przede wszystkim chronienie współwięźniów przed esesmanami i kapami. Nie było to wcale rzeczą łatwą i często groziło funkcyjnemu przegraniem sporu z tymi władzami.

W początkach 1945 roku, kiedy w Dachau szalała epidemia tyfusu, przydzielono na 16-tkę jako Blockführera młodego esesmana, przysłanego na służbę do Dachau po wyleczeniu z poważnych ran poniesionych na froncie. Był to zapalony hitlerowiec, nienawidzący więźniów, a szczególnie Polaków (podejrzewaliśmy, że został ranny w walce z AK w Powstaniu Warszawskim).

Co drugi dzień, kiedy miał służbę w obozie, wpadał na blok z całą furią, znaną nam z pierwszych lat kacetu, i nic go nie zadawała. Wszystkie próby łagodzenia go zawodziły. Przyczepił się nawet do ścielenia łóżek, domagając się dawno już w Dachau porzuconego wyrównywania kółder w kratkę poprzez całe sypialnie. Sam w dniach jego regularnej „wizyty” poprawiałem kółdry na obu widocznych poziomach łóżek: najwyższe pod sufitem mógł zobaczyć wdrapując się po ramach łóżek i liczyłem, że nasz „ranny” Blockführer nie będzie tam wlaził.

Mylilem się jednak. Któregoś dnia, kiedy nie bardzo mógł się przyczepić do dolnych i środkowych łóżek, zaczął piąć się do góry. Tam znalazł naturalnie bałagan. Ze wściekłością zrzucił kółdry na podłogę, a następnie w przystępie szału sam je wykopywał z łóżek. Wieczorem uspakajałem kolegów jak mogłem i przyrzekałem, że coś na to poradzimy. Nie bardzo wiedziałem wtedy, co i jak.

Dwa dni później wpadł na izbę jak huragan i z miejsca zaczął się drapać na górę po ramach łóżek. Przezornie w pewnej odległości od niego wdrapałem się i ja. Na górnych łóżkach bałagan był taki sam jak poprzednim razem. Oslupiałem ze zdziwienia wzrokiem patrzył na mnie bez słów. A ja na niego: „Zrzucić koce panie Blockführer? – i zaraz dodałem - Niech pan sam nie dotyka, bo może się pan zarazić tyfusem”. – „Co to znaczy: zarazić tyfusem?” – zapytał, jakby o tym po raz pierwszy słyszał. „Mamy przecież epidemii tyfusu w obozie” – odpowiedziałem spokojnie. „Dziś znowu zamiast do pracy musieliśmy dwóch więźniów podejrzanych o tyfus posłać na rewir”.

Mierzyliśmy się wzrokiem przez dłuższą chwilę, ale nie mrugnął. Blockführer powoli szedł na dół i wyszedł z izby nie sprawdzając w książce, czy i kto poszedł na rewir – tym bardziej, że do szpitala posyłało się w zasadzie po wieczornym apelu. Ładnie bym wyglądał, gdyby mnie sprawdził. Dyndałbym na słupku, jeśli nie na szubienicy. Od tego czasu już na naszą izbę nie wchodził i tylko przez okno sprawdzał wyrównanie łóżek. Ale nie zapomniał pytać się ilu jeszcze mamy chorych na tyfus.

c.d.n.